

Czy to na pewno książka...

Małgorzata Tokarska, *Chemia na zlecenie*, Wydawnictwo Majus, Zielona Góra 2009, 402 s.

Takiej książki w Zielonej Górze jeszcze nikt do tej pory nie wydał. Różne już się ukazywały, zrobione na powielaczu lub – z pietyzmem – bardzo bogato ilustrowane, np. Szyłkina, Solińskiego, Werstlera. Nigdy jednak nikomu nie przyszło na myśl wydać opasłej, swoistej „cegły” liczącej 402 strony, z których przeważającą większość stanowią w zasadzie puste stronicie, jeśliby nie uwzględnić paginacji i towarzyszących jej tytułów rozdziałów. Sfera tekstu, bo taka tu oczywiście występuje, sprowadza się do zaprezentowania przez autorkę pojedynczych zdań, zdań zresztą nie będących typowym drukiem, ale napisanych najogólniej ręcznie (faksymile) drobnym pismem – długopisem, pisakiem, cienkopisem lub piórem (to zresztą nie jest tu istotne), jakby miała ich forma wzmacniać autentyczność zapisu. Napisanych bez szczególnej dbałości, raz ulokowanych na jakimś domyślnym marginesie jakiejś kartki (najczęściej na marginesie), raz zupełnie na dole. Niekiedy znajdujemy na jednej stronie dwa takie związły, jednozdaniowe zapiski, w których jest konkretna informacja, przekaz myśli i odczucia, i uczucia, a innym razem zaledwie sylaby. Myślę oczywiście o druku zwartym Małgorzaty Tokarskiej pt. *Chemia na zlecenie*, który niedawno się ukazał. Autorka „kończy studia w Katedrze Sztuki i Kultury Plastycznej Wydziału Artystycznego Uniwersytetu Zielonogórskiego”. Czytelnik, bo jednak ktoś, kto tę książkę weźmie do ręki, ma szanse nim być, może doznać jakiegoś przynajmniej rodzaju zaskoczenia, jeśli nie szoku. Ta narzucająca się oryginalność wydania może zresztą wywołać albo odruch niechęci przed dalszym jej poznawaniem, albo wręcz odwrotnie – zaciekawić. Zaciekawić, choćby dlatego, że skoro w niej prawie niczego nie ma (tekstu tyle co kot napłakał), to wobec tego można zapytać, co

w niej takiego jest, że trzeba było użyć kilkuset stron dobrego jakościowo papieru dla autorskiej, jakby nie było, wypowiedzi. W sensie czysto formalnym jest to oczywiście książka w określonym formacie, tytule, zaopatrzona w ISBN, fotografię autorki, biogram, celującą rekomendację Radosława Czarkowskiego, tytuły rozdziałów oraz imię i nazwisko autora, w tym przypadku autorki. Mam wrażenie jednak, że chodziło tu Małgorzacie Tokarskiej raczej o oryginalny żart, zabawne zachowanie, kpinę, może kaprys, może o próbę nadania jakiegoś niesamowitego hiperznaczenia swoim dość banalnym zapiskom, mającym niewiele wspólnego z rygiorem sztuki słowa. W końcu forma wydania nie jest przypadkowa. Niewątpliwie chodziło tu o wybór innej formy graficznej wypowiedzi niż powszechnie stosowana. Tylko od razu nasuwa się pytanie, co tą innością udało się uzyskać? Sądzę, że w zasadzie nic. W rezultacie, jeśli czytamy zdania, np.: „W końcu znajduję telefon w kieszeni... sms, na który czekam już tam jest...”, „Oj źle się dzieje”, „Będę czekać. Mnie chyba też zauroczyło”, „na zlecenie jedyna”, „pragnę Cię tak mocno, że tylko sen uchroni mnie przed szaleństwem”, to nie ma znaczenia lub ma zupełnie marginalne, gdy jest to podane drukiem lub pismem odręcznym, ale jedynie to, czy treść jest ważna, arcyważna. Czyli znaczenie i rodzaj refleksji. Cóż na to powiedzieć, gdy widać gołym okiem, że mamy tu do czynienia z przekazem płytkim myślowo i językowo, w którym nie ma niczego poza dość nużącą rejestracją emocji. Brak w tych zapiskach interesującej fabuły, czyli brak generalnie tego wszystkiego, co by uzasadniało przedstawienie na tak wielu stronach rozciągniętej w czasie, udokumentowanej historii kontaktu, można przypuszczać, autorki z jej uczu-

ciowym partnerem. Którym ona sama jest bardzo zaaferowana, jak to zresztą bywa w gorączce zakochania lub miłości, zwłaszcza w młodzięcym wieku. Tylko czy taki poziom słowa, jeśli już decydujemy się je upublicznić, to nie jest przypadkiem chęć egzaltowanego mówienia wyjątkowości znaczenia tam, gdzie zupełnie go nie ma. Słowo upublicznione, nawet gdy ekshibicjonistycznie przekracza granice prywatności, podlega twardej ocenie. Może więc być również zlekceważone. Jeśli tę publikację traktować jako książkę, to trzeba przyznać, że jest to bardzo lichutka książka, „cienka” w potocznym rozumieniu. Czy zdoła się w niej coś sensownego wyczytać? Wątpię. Czy wobec tego jest to książka do oglądania? Do oglądania puste stronicie nie są na pewno. A tam gdzie, nazwę to, pojawiają się w szczątkowej formie

zabiegi ilustracyjne; cztery lub pięć poziomych kresek bądź jakieś kreski pionowe, jakieś nawiasy, dwukropki, zawinięte linie, półkola, to też nic szczególnie zajmującego, tylko wzruszyć ramionami. Tak więc pożytek myślowy i przyjemność oglądania jest tu żadna. Można, owszem, jeśli ktoś to lubi, dorabiać do tego nic-znaczenia całkiem górnolotną filozofię i wykładnię nieistniejącego sensu, ale w ten sposób wystawia się samemu sobie nienajlepsze świadectwo. Nie twierdzą, że całe to zamierzenie jest bezsensowne. Może przynieść autorce nawet pewien pożytek. Taki mianowicie, że w pewnym momencie, za jakiś czas, sama nabierze do tego dokonania ozdrowieńczego dystansu.

Czesław Sobkowiak